Rozmaitości

Dnia 14. Października Nr 41. 1837 Roku.

OŁTARZ ARTYSTY.

Legenda przez J. F. Castelli.

Budownik Nilsen, ukończywszy w Oxforcie spaniały kościoł i klasztor Sgo Asafata, popłynął w początku siedmnastego wieku Tamizą do Greenwich, dla udania się ztamtąd do Genui, gdzie zamyślił wyszukać wzór na ołtarz, któryby świetną był ozdobą spaniałéj, przez niego wystawionéj świątyni. Nilsen był już podeszłego wieku, i wdowcem. Żona jego, Editha Kilmore, dumna niewiasta, już mu była dawno umarła, i zostawiła mu jedynę córkę, łagodnego charakteru, jasnych włosów Maryję, która tak była rzadkich wdzięków, iż ją uczniowie z tamecznéj wszechnicy perłą Oxfortu nazywali, a wszystkie matki stawiały ją swoim córkom za wzór uprzejméj dobroci i wielkiéj obyczajności. Nim się Nilsen wybrał w tę podróż, która nad jego zamiar przedłużyć się mogła, troskliwy o dobro swojéj córki, starał się wszelkiemi sposobami wprzód wydać ją za mąż, zabezpieczyć jéj przyszłość i wyjechać bez troski o los istoty, którą już samę jednę na świecie kochał. Lecz Maryja była obojętną dla wszystkich, starających się o jéj rękę; jéj miłość i przywiązanie zdały się być zjednoczone w jednym tylko przedmiocie, a tym przedmiotem, był jéj ojciec. Nilsen życzył sobie, ażeby pozostała w Anglii, ale gdy Maryja rozpłakana, padłszy mu do nóg, zaczęła go na świętą pamięć matki zaklinać, ażeby jéj pozwolił towarzyszyć w tę podróż; starzec rozczulony przywiązaniem Maryi, będąc już samą myślą rozłączenia się, do żywego tknięty, rozpłakał się z radości, i zezwolił wreszcie na to jéj żądanie. Wyjechali więc oboje i przybyli szczęśliwie do Genui.

Zaledwie tylko Nilsen stanął w tém spaniałém mieście, udał się bez wszelkiéj zwłoki na zwiedzenie kościołów, w których przez porównanie i przez naśladowanie i zgłębienie wszystkich pojedyńczych piękności, chciał zebrać jednę całkowitą piękność do dzieła, które sam utworzyć zamyślił. Skończywszy prawie w przeciągu jednego miesiąca rysunek na ołtarz, zaczął się przepytywać o artystę wprawionego w sztukę rzeźbiarską, zdolnego do wykonania tego dzieła, ale o artystę tak młodego i tak jeszcze nieznanego światu, ażeby ten pracując razem z wsławionym już Nilsenem, nie zaciemnił sławy jego imienia. Lecz wszystkie poszukiwania były daremne; Genua liczyła wielu, ale już laurami uwieńczonych artystów, a Nilsen tych właśnie unikał. Nilsen byłby dał swoje życie, gdyby mógł kościoł Sgo Asafata przyozdobić najpiękniejszém i najdoskonalszém dziełem w całéj Anglii, ale byłby także zaprzedał duszę swoję, gdyby cały świat, zdumiewającsię nad tém misterném dziełem, niczyje, tylko jego wspominał imię.

Jednego wieczora utrudzony zwiedzaniem kościołów wracał Nilsen do domu, i z trwożliwością zapytał samego siebie, ażali słuszna jest, aby artysta stłumiał w sobie uczucie obywatela, patryjoty; ażali nie powinien raczéj widoki osobiste poświęcić sławie, i podobnie jak wielcy artyści genueńscy, dla ojczyzny misterne utworzyć dzieło? Już był postanowił zrzec się téj sławy, już miał stłumić w sobie to samolubne uczucie, gdy Maryja wyszła naprzeciw niemu w pół ulicy z doniesieniem, że jakiś mężczyzna z miasta czeka na niego w domu. Nilsen, spojrzawszy jeszcze raz z podziwieniem na posągi SS. Szymona i Juda, wystawione nie daleko jego mieszkania,

a nie mogąc się dowiedzieć kto był ich mistrzem, pospieszył prosto do domu. Wszedłszy do przedpokoju, zastał w nim młodego mężczyznę, przypatrującego się S. Asafatowi, który wyrysowany wisiał na ścianie. Młody mężczyzna ten posłyszawszy szelest, sprawiony przy wejściu, obrócił się spieszno ku drzwiom, i spostrzegłszy starego mistrza, zbliżył się o kilka kroków ku niemu, pokłonił się z głębokiém uszanowaniem, a potém stanął w milczeniu, jak gdyby oczekując, azali Nilsen sam go nie zapyta o przyczynę jego przybycia.

Młody ten człowiek wyglądał bardzo nędznie. Był słuszny, chudy, pochylony i bardzo ubogo ubrany. Litość zdejmowała, patrząc na jego twarz cierpiącą: ostre i mocne poorały ją bruzdy. Patrząc na niego rzekłbyś, że ten człowiek żyje w największym niedostatku, że nié ma szeląga na kawałek chleba dla zaspokojenia swego głodu, a jednak niktby nie śmiał go żadnym datkiem wesprzéć, taka duma, taka niepodległość malowała się w jego bladéj i chudéj twarzy, każdyby poznał za pierwszym rzutem oka, że ten człowiek pochylony, podniósłby się z dumą, i uchyliłby od siebie ze wzgardą podobne dary; że to posępne i prawie przygasłe oko, strzeliłoby gniewu błyskawicą na tego, coby go śmiał tym sposobem poniżać. Nilsen postrzegł to wszystko, i nie wiedział sam jakimby sposobem dopomódz temu obcemu człowiekowi; był bowiem mocno przekonany, że go tylko prośba o jałmużnę sprowadziła do niego. Czekał więc pokąd się nie oświadczy, a przybyły spodziéwał się przeciwnie, że budownik sam uprzedzi go w téj mierze i sam zacznie rozmowę. Po niejakiém milczeniu, które zdało się być uroczystém, zaczął Nilsen w najdelikatniejszy sposób pytać się młodzieńca, jaki do niego sprowadza go interes, i czém się mu przysłużyć może, prosząc przytém o przebaczenie, że tak długo dał mu czekać na siebie, gdyż nie jest panem swojego czasu.

»Wiém o tém,« odrzekł młodzieniec drżącym głosem, wlepiwszy w Nilsena swoje błagające spojrzenia. »Wiém o tém panie, iż prawie od miesiąca szukasz w Genui rzeźbiarza, którvby się podjął pracy dla ciebie.«

»Tak jest,« odpowié Nilsen, »wiészże także i o tém, że go nie mogę znaleźć?

»Wiém.«

»Czy nie mógłbyś mi przypadkiem kogo nastręczyć? mój przyjacielu!«

»Mógłbym, panie!«

»Bądźże łaskaw i zaprowadź mię natychmiast do tego człowieka, będę ci mocno obowiązany. Maryjo! daj mi czém prędzéj laskę i kapelusz.«

»Nie trudź się panie,« ozwie się młody człowiek, którego twarz, gdy wymawiał ostatnie słowa, wyjaśniać się zaczęła; »on sam przyszedł do ciebie. Jato jestem tym człowiekiem.« A jeniusz, który w téj chwili błysnął z ócz jego, dowiódł, że mówił prawdę.

Nilsen zmieszany, że się pomylił, ujął za rękę młodzieńca, i chciał się uniewinniać, ale nie mógł słów wynaleźć.

Maryja równie pomieszana spuściła w dół oczy, i korzystając z téj sposobności, oddaliła się z pokoju.

»Gdzież twój warsztat? gdzie pomieszkanie?« zapytał Anglik, jeszcze nie przekonany zupełnie.

»Ja nié mam warsztatu, ani pomieszkania,« odpowiedział młodzieniec z żałośnym uśmiéchem. »W dzień pracuję tam, gdzie mam robotę, a noc przepędzam u jednego francuzkiego malarza.«

»Któż był twoim nauczycielem?«

»Ów mistrz wielki: Michał Anioł Buonarotti.«

Nilsen pochylił głowę z uszanowaniem, zapomniawszy, że ten wielki artysta już dawno był w grobie. Dopiéro poźniéj spostrzegł swoję omyłkę, i urażony spojrzawszy ironicznie na Genueńczyka, odezwał się nieco dotkliwie: »Mój przyjacielu, jesteś jeszcze za młody, abyś sobie żartował ze starca, jakim ja jestem.«

»Jak mi Bóg miły, mój panie!« odparł cudzoziemiec, »już od dziesięciu lat dzieła Michała Anioła były memi wzorami; teraz liczę dwadzieścia i dwa; wierzaj mi, że tylko na tych wielkich wzorach wprawiałem mą rękę, żaden człowiek dotychczas nie uczył mnie kierować dłutem i nie prostował moich błędów.«

»I dałeś już tym sposobem dzieła jakie światu?« zapytał Nilsen głosem szyderczym.

»Dotychczas jeszcze mało, ale czuję w sobie siłę, i mam ochotę do utworzenia dzieł niepospolitych.«

»Czy znasz dokładnie miasto Genuę?«

»Jestem ztąd rodem.«

»Czy nie powiedziałbyś mi, czyjego dłuta są te dwa posągi SS. Szymona i Judy, które stoją tu nie daleko mojego pomieszkania?«

»Te posągi zrobione są przeze mnie,« odpowiedział skromnie młodzieniec.

»Jako? przez ciebie młodzieńcze? Jakże się nazywasz?« zawoła Nilsen powstawszy.

»Piotr Tadolini.«

Piérwszy raz usłyszał Anglik to nazwisko. Te więc dwa spaniałe posągi, które podług jego mniemania nie podobna było opłacić złotem, te dwa głazy przeobrażone misternie w żyjące postacie, które prześcignęły wszystkie posągi, jakiemi się Anglija pochlubić może, te dwa nieśmiertelne, boskie dzieła, przed któremi on, przechodząc codziennie, za każdą razą omal z podziwienia nie uklękał, utworzył biédny nieznajomy, w liche szaty przyodziany młodzieniec, u niego pracy szukający! Nilsen nie posiadał się z radości.

Zbliżył się czas wieczerzy. Nilsen zaprosił Piotra, aby z nim siadł do stołu. Maryja, w któréj oczach zajaśniała radość niebiańska, usługiwała im. Maryja znała już Piotra. Wychodząc z domu widziała go nie raz stojącego koło jéj pomieszkania. Piotr ścigał ją oczyma, a spojrzenia jego przekonywały ją, że tylko dla zobaczenia jéj, tak często przebywa na tém miejscu. Dzisiejszego dnia przyszedł do niéj z pokorną prośbą, aby mu pozwoliła zaczekać na swego ojca. Tkliwym i drżącym głosem przemówił do niéj, że zamyśla podjąć się pracy w warsztacie jéj ojca, i najchętniéj poświęci połowę swego życia i sławę swego kunsztu, byle ją tylko częściej mógł widywać. Maryja, zmieszana jego mową, nie wiedziała sama, co mu na to powiedzieć, i z zapłonionem licem wybiegła na przeciw ojcu, którego właśnie przez okno idącego postrzegła; jednakże cieszyła się niezmiernie, iż znalazła serce, które chociaż pod ubogą osłoną, było dla niéj życzliwe.

Młody Tadolini został spółpracownikiem Nilsena. Anglik pokazał mu plan, a rzeźbiarz podjął się wykonać go z niektóremi małemi odmianami, które podał mu pod rozwagę, i przezto samo okazał nowy dowód swojego jeniuszu. Obadwaj artyści upatrzyli i wybrali najpiękniejsze bryły karraryjskiego marmuru, bowiem zakonnicy klasztoru Sgo Asafata nie skąpili Nilsenowi znacznej sumy na zakupienie potrzebnych materyjałów. Nilsen najął wielką pracownię; Piotr zamknął się w niej, i z taką pracował usilnością, że nawet chwil do spoczynku sobie ujmował. Ale Maryja, odwiedzając go bardzo często z swoim ojcem, osładzała mu gorliwość jego.

We dwa lata stanęło ukończone, wielkie, wzniosłe, spaniałe dzieło. Ołtarz Zmartwywstania Chrystusa Pana, ozdobiony ośmnastą spaniałemi posągami i czterma płaskorzeźbami, które się najpiękniejszym dziełom starożytności równały. Podniesiono w górę strop warsztatu, rozpostarto zasłonę, a w obchód imienin Maryi, dnia 15. sierpnia 1628 r., odsłonięto dzieło z największą uroczystością w obecności ojca i córki, którzy pięknością jego uderzeni, z zachwycenia padli przed niém na kolana. Dla uświetnienia dnia tego, w nagrodę pracy młodzieńca, odbyły się tegoż samego wieczora Piotra z Maryją zaręczyny. Po skończonéj uroczystości, gdy trzy dni upłynęło, rozebrano całe dzieło w pojedyńcze części, złożono je w skrzyniach, i zaniesiono na pokład okrętu dla przewiezienia go pod dozorem trojga przyjaciół, do Anglii. Zaślubienie kochanéj pary miało się odbyć w Oxforcie, w tamecznym kościele, w dzień inauguracyi ołtarza.

Nilsen, płynąc na tym samym okręcie z swoją córką i przyjacielem, miał z początku podróż bardzo pomyślną. Już występowały z powodzi morskiej wybrzeża angielskie, które majtkowie witali głośnym okrzykiem, gdy oto niespodzianie puścił się dészcz drobny, wiatr południowy obrócił się na północ, zaszumiał wełnami i sprowadził straszliwą burzę. W kilka godzin wszelkie obroty sternika zostały zniweczonémi, przemożną tuczą strzaskane maszty leżały na pokładzie. Żeglarze osądzili, że okręt jest za ciężko naładowany i zawyrokowali jednoustnie, rzucić ołtarz w morze. Środek ten był koniecznym dla ocalenia życia tylu osób. Piotr, który był zasnął w kajucie, obudził się, gdy okręt zaczął niezmiernie kołysać się i trzeszczéć. Zahuczały pioruny, przeraźliwy krzyk trwogi obił się o jego uszy. Widział jak Maryję, jego kochankę, tulił Nilsen w rozpaczy i przestrachu do swojéj piersi; widział jak niebo posiniałe, pokryło się kirem nocy, ni owa matka na pogrzebie swego dziecięcia,

widział, jak z czarnego niebios sklepienia spojrzał czasem krwawy księżyc, a błyskawice pruły je, jak płomieniste gady, ogromne bałwany, spiętrzone na kształt gór okropnych, uderzały z straszliwym hukiem i łomotem o burzą miotany okręt, i rozkroiwszy wody swoje, ciskały nim raz pod niebiosa, to znowu w przepaść bezdenną. Piotr poskoczył ku Maryi, dla zasłonienia ją swojém ciałem, ale w téjże samej chwili zhukana powódź nadniosła drugą wodną górę, która się nad opierającym okrętem z trzaskiem rozłamała. Piotr pochwycił lwią siłą w objęcie zemdloną kochankę, ale stary Nilsen uległ przeznaczeniu — wełn nielitościwy uniosł go z sobą!

Po téj okropnéj chwili, krótka nastała cisza; majtkowie, chcąc z niéj korzystać, zabrali się czémprędzéj około wykonania swego zamysłu. Rzeźbiarz klęczał u nóg Maryi, i załamywał z rozpaczy ręce. Schylony nad jéj licem usiłował ożywić ją swojém tchnieniem; w tém zaczęły skrzypiéć dźwignie i turkotać powrozy, któremi majtkowie skrzynie na pokład wyciągali. Zatrudnienie to przebudziło go i zwróciło jego uwagę. Ujrzawszy na co się zanosi, zaledwo uwierzył oczom swoim; właśnie wydobyto z dolnego piętra jednę z skrzyń zawiérających jego misterne dzieło. Któż jest w stanie opisać, co się działo w duszy nieszczęsnego artysty! Rozpacz i wściekłość zaczęły miotać nim na przemiany; jego misterna praca, dzieło jego sławy, z którego dumniejszym był, niźli zdobywca z swoich podbitych krajów, dzieło jego jeniuszu, które w jego duszy twórcą go czyniło, to dzieło jego miłości, którém Maryja go natchnęła, ten spaniały, podziwienia godny ołtarz, miał być jak lichy, znikomy towar jaki, w morze rzuconym!... Drżący z wściekłości zerwał się i poskoczył z roziskrzoném okiem do majtków, i wszelkiemi siłami starał się wstrzymać ich od bezbożnéj sprawy, a wyrwawszy jednemu z ręku siekiérę, potężnym zamachem rozciął nią powróz, na którym skrzynię w morze spuścić miano; powróz zaświszczał w powietrzu, a skrzynia z ogromnym stukiem spadła znowu na pokład. Nie chcąc uledz przemocy, zjęty rozpaczą, prawie bez zmysłów, wskoczył spieszno na główny maszt, i objąwszy go ramionami, miotał przekleństwa i groził zgubą czeladzi okrętowéj.

Majtkowie posłupieli przez chwilę z zadziwienia, lecz wkrótce połączyli się znowu, i chcieli zciągnąć go z masztu, ale Tadolini strącił dwóch z nich na pokład, a trzeciemu groził rozcięciem głowy siekiérą, jeżeli go nie zaniecha. »Ha, zuchwalcze!« zawołał z gniewem kapitan okrętowy, »zamiast zatopienia swych kamieni, wolisz raczéj, ażebyś sam, ażeby twoja żona, i my wszyscy zginęli? Dobrze! niechże twoja żona ginie najpiérwsza. Wrzućcie tę kobiétę w morze!«

Teraz dopiéro nastąpiła okropna scena; rzeźbiarz zsunął się piorunem z masztu do nieszczęsnéj, w pół obumarłéj Maryi, którą silne ręce majtków już w swoję przemoc brały. Niewysłowiona była rozpacz i trwoga Piotra, zaczął jęczéć, krzyczéć, zaklinać, i dziczéć. Podobny lwu numidyjskiemu szarpał zębami twarze tych, co się do Maryi zbliżali; aż oto zarazem — stuk i trzask straszliwy — okręt uderzył o skałę, i nim jeszcze ten okropny spór się zakończył, już wszystko pochłonęły przepaście morskie!

Nazajutrz mieszkańce Kaletu ujrzeli na piaszczystych swoich wybrzeżach szczątki rozbitego świéżo okrętu. Dla zbadania, wysłano dwa małe statki, które wkrótce wróciły z wiadomością, że téj nocy okręt włoski zatonął. W niejakiém od miasta oddaleniu znaleziono zwłoki pięciu osób na piasku wyrzuconych, a między niemi zwłoki jednéj niewiasty. Dwóch majtków, okazujących jeszcze znaki życia, przyniesiono z sobą, i powieszono ich głową w dół, według ówczesnego zwyczaju; przez co jeden skonał tém prędzéj, a drugi został ocalonym, i od tegoto dowiedziano się o całym wypadku, który poprzedził rozbicie okrętu. Starano się wydobyć z morza okręt dla uratowania pozostałych w nim rzeczy.

Usiłowanie to powiodło się szczęśliwie. Dobyto skrzynie i znaleziono w nich wszystkie pojedyńcze sztuki ołtarza. Doniesiono o tém Ludwikowi XIII., królowi francuzkiemu, który natychmiast wydał uchwałę, iż cały ołtarz z wszystkiemi posągami i przyozdobieniami z marmuru i porfiru, jakie znaleziono w okręcie, daruje kościołowi Najświętszéj Panny w Kalecie. Przywieziono do kościoła skrzynie opieczętowane królewskim herbem, a budowniczy miasta odebrał od samego króla zlecenie, aby poskładał wszystkie sztuki i w prze-

ciągu trzech miesięcy wystawił z nich ołtarz Zmartwychwstania Chrystusa Pana.

Budowniczy zagłębiał się nad sposobem, układał i pracował przez dwa miesiące. Chór kościelny, zamknięty pod tę chwilę dla prawowiernych, ukrywał przed ich okiem drogie zabytki, które jeszcze na podłodze porozkładane leżały; albowiem budowniczy, pomimo wiadomości architektonicznych, nie mógł pojąć ani dokładnego podziału części pojedyńczych, ani wynaleźć przyzwoitego miejsca do ustawienia ołtarza. Czas wyznaczony zbliżał się coraz bardziéj do końca, mistrz musiał albo wystawić ołtarz, albo doznać wstydu i hańby. Biédny artysta przemyśliwał głęboko, przykładał wszelkiéj pilności, lecz wszystko było nadaremne. Pewnego razu o północy, na kilka dni przed upłynionym czasem, zwątpiwszy zupełnie o swéj sztuce i utrudzony pracą, wrócił do domu, w zamiarze wyjechania nazajutrz z Kaletu potajemnie, aby nie być celem publicznego zhańbienia. Znużony, ledwo zmrużył powieki, natychmiast sen skrzydły swemi zaniósł go do kościoła, pomiędzy rozłożone sztuki ołtarza. Widział jak śród nawy kościoła powstał jakiś młody, smukły mężczyzna, mający na głowie czarne i długie włosy, które około bladéj jego twarzy, jak gałązki smętnej wiérzby nad grobowcem, spadały. Mężczyzna ten, oświécony bladém światłem, które od niego samego wychodzić się zdawało, szedł prosto do wielkiego ołtarza. Palcem dotknął się świec jarzących, które się natychmiast zapaliły. Potém zbliżył się do sztuk marmurowych, które tu i ówdzie leżały, i bez wszelkiego natężenia i stuku, poustawiał każdą na swojém miejscu. Ułożywszy tym sposobem podstawę, schylił się aż do ziemi, podniósł gzymzy, płaskorzeźby, przyczołki, i cały ten ciężar wzniosłszy do góry, poustawiał znowu każdą sztukę na swojém miejscu, aż do wieńca ołtarza. Pozostał jeszcze posąg jeden, posąg Zmartwychwstania Zbawiciela z krzyżem i zwycięzką chorągwią w ręku. Ale kościoł nie miał do tego celu wysokości odpowiednéj. Cień podjął z uszanowaniem posąg Chrystusa pana i wzniósł się z nim w powietrze pod sklepienie kościoła, a sklepienie samo przez się wystrzeliło w kopułę dla zrobienia miejsca Zbawicielowi. Gdy się to stało, dał się architektowi słyszéć głos wołający: »*Oto jest ołtarz Piotra Tadoliniego!*« poczém wszystko razem zniknęło.

Nazajutrz gdy już dzień rozświtał, ocknął się budowniczy i zaczął się około swego odjazdu spieszno zabiérać; jednakże nie mógł przenieść na sobie, aby tego snu podziwnego, którym przez całą noc był nagabanym, wprzód żonie swojéj nie opowiedział. Zaledwie to uskutecznił, już go żona namawiać zaczęła, aby się wystawą ołtarza jeszcze raz ostatni zajął, a gdy mu się nie powiedzie, dopiéro wtedy odjazd swój przedsięwziął.

Stroskany artysta usłuchał rady żony swojéj. Gdy przyszedł do kościoła, zastał już ludzi, którzy mu zwykle w robocie pomagali, i widząc, że robota nie zbliżała się do końca, każdego poranku, dobrego dnia życzyli. Budowniczy nic nie odpowiadał na ich szydercze przycinki, obejrzał rozłożone części ołtarza, i przypominając sobie swój sen w najdrobniejszych szczegółach, usiłował w tym sposobie, jakto ów cień nocny czynił, ustawić wszystkie sztuki. Rzecz dziwna! wszystko wiodło się najdoskonaléj. Najprzód fundament, potém podstawy, posągi, cymboryjum, płaskorzeźby, kolumny, kapitele, gzymsy, wszystko stanęło do miary i na swojém miejscu, jakby ulane. Pomocniki nie mogli się pojąć z zadumienia. Budowniczy, zachęcony pomyślnym skutkiem, zlany zimnym potem, mimo śmiertelną bladość swoję na twarzy, był niezmordowany w pracy. O jedénastéj godzinie w nocy stały już wszystkie sztuki głazów na swojém miejscu, wyjąwszy posąg Zbawiciela, który był za wysoki i nie dał się umieścić pod sklepieniem kościoła.

»Jakto, czy jeszcze chcesz ten posąg stawić mistrzu?« zapytali go pomocnicy.

Budowniczy otworzył już usta i chciał odpowiedzieć: Nie wiém; ale ten sam głos, co mu dał się słyszéć w nocy, poszepnął mu do ucha: »*Doświadcz!*« Budowniczy wzdrygnął się i rzekł do nich: »Dźwignijcie posąg!«

Pomocnicy spojrzeli po sobie z uśmiéchem, i jęli wznosić posąg do góry, ale o cudzie! sklepienie pomykało się coraz wyżéj i wyżéj, aż posąg stanął na szczycie ołtarza w całym blasku i spaniałości!

Budowniczy upadł z pokorą na twarz przed ołtarzem. W téjże saméj chwili dał się słyszéć

grzmiący głos, który zatrząsł mury kościoła, powtarzając zwolna i uroczyście te słowa: *»Oto ołtarz Piotra Tadoliniego!«*

Pomocnicy chcieli podnieść swojego mistrza, ale mistrz ich — już był nieżywy!

STRZAŁ MISTRZOWSKI.

Pewien holenderski osadnik na przylądku Dobréj Nadziei, nazwiskiem Van Vyk, popisał się wystrzałem, możnaby powiedzieć, prawdziwie po mistrzowsku. Rzecz była następująca: »Moja żona (mówił Van Vyk) siedziała w domu nie daleko drzwi, a koło niéj igrały dzieci. Ja byłem na podwórzu blizko domu, zatrudniony składaniem wozu; w tém nagle, chociaż było południe, pokazał się ogromny lew i położył się spokojnie w cieniu drzwi na samym progu. Żona moja, czy z przestrachu, czy dla tego, że znała niebezpieczeństwo, ani się ruszyła z miejsca, a dzieci poprzytulały się do jéj łona. Przeraźliwy krzyk, który wydała, zwrócił moję uwagę; poskoczyłem ku drzwiom; jakże okropnie byłem przerażony, można sobie to wystawić, gdym ujrzał na progu potwór rozciągnięty. Chociaż mnie lew nie postrzegł, jednak nie mając przy sobie żadnéj broni, nie można było myśléć o ratunku. Tymczasem nie wiedząc jak sobie poradzić, pobiegłem chyłkiem po za dom drugą stroną do komory, w któréj była nabita strzelba. Szczęściem postawiłem ją był tuż przy oknie, tak, że ją z okna ręką dostałem. Przypadek zdarzył, że drzwi komory były także na oścież otwarte, przez nie widziéć mógłem lwa, moję żonę i dzieci. Lew zaczął się podnosić, może w celu rzucenia się obces na nieszczęśliwych, nie było już ani chwili do stracenia; zawołałem więc z cicha do mojéj żony, aby była spokojną, i strzeliłem. Kula gwizdnęła po nad głowę mojego syna, ugodziła lwa w same czoło pomiędzy oczy, i w okamgnieniu położyła go trupem.«

WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH W WROCŁAWIU.

Z roku 1837. (Z prywat. koresp.)

W przepysznych salach nowo wystawionego gmachu giełdy, przeznaczonych dla towarzystwa narodowego szlązkiego, wystawa sztuki i przemysłu krajowego, zgromadzała codziennie liczne grono znawców i lubowników malarstwa. Dziewięćset ośmdziesiąt obrazów olejnych, pędzla mistrzów sławy europejskiéj, nie mniéj jak i ich uczniów, piękny ten zawód świetnie rozpoczynających, i znaczna ilość miedzio- kamienio- i drzeworytów; znawców i nieznawców, wzniosłością pomysłów, wyborem przedmiotów i doskonałością techniczną, równie zachwycały. Przesłane obrazy z Amsterdamu, Mnichowa, Paryża, Dortrechtu, Norymbergi, Zurich, Drezna, Berlina, Brunszwiku, Warszawy, Rzymu, Neapolu i wielu innych miast, podały sposobność uważania w jaki sposób sztuka malarska w naszym wieku po różnych punktach Europy się rozwija, tym bardziéj, iż po większéj części przesłane obrazy bądź historyczne, bądź idealne, bądź tak zwane *du genre*, znamię ducha czasu na sobie noszą. Najpiękniejszych atoli dzieł sztuki dostarczyła szkoła malarska Düsseldorfska, założona przez sławnego Korneliusza, a teraz pod dozorem nie mniéj sławnego Schadowa zostająca. Wzniosła dążność, jakoteż zewnętrzna i wewnętrzna działalność téj prawdziwéj świątyni nowo-odrodzonéj sztuki niemieckiéj, bardzo zajmująco w pismie czasowém angielskiém: *Foreign Revue* i w osobném dziełku niemieckiém skreślona. Krótki opis najbardziéj wyszczególniających się obrazów, podług zdania znawców, może nie będzie bez interesu dla czytelników.

1. *Umiérający radzca* przez prof. Hildebranda, najsławniejszego ucznia Schadowa. Jędrna i pełna życia natura tak świetnie odznacza przeszłe płody mistrza tego, która mu tyle pochwał w obrazie: *Wojownik z dzieckiem* zjednała, tu w elegijny pomysł się zmieniła. Wydobył łzę ze skarbnicy wyobraźni, w niéj pędzel umaczał, aby pomysł duszy, pomysł tak żywy, wiernie na martwo przelał płótno. Starzec umiérający na łóżku, spogląda okiem ojcowskiéj miłości i troskliwości na młodą dziewczynę, tuż przy jego łożu stojącą. Dziewczyna ta jest córką starca, co wyraźnie w téj twarzy, gdzie niespokojność o jéj przyszłość się maluje, wyczytać można; tu widać mędrca, chrześcijanina i człowieka! W niewinném anielskiém spojrzeniu dziewczyny, słuchającéj niezrozumiałych słów pożegnawczych, wyjawia się smutek, podziwienie i ciekawość dziecinna. Jako ducha opiekuńczego widać nad łóżkiem zawieszony portret matrony, w starodawnym stroju niemieckim, zapewne matki téj siéroty. Zwiędły wianek zwieszony na obrazie.

2. *Elektor Joachim II. broniący się przeciw trzem Muzułmanom*; w żelaznéj zbroi zsiada z konia rannego i upadającego, jeszcze noga jedna w strzemieniu; przy nim giermek zsiadł z konia i tarczą zasłania pana swego przed cięciem toporu jednego Turczyna, mieczem odbija cięcie drugiego. Lecz nadaremna walka, trzeci z wściekłością na niego z boku naciéra. W tak okropném położeniu elektor spokojnie i szlachetnie spogląda na zaciętą wściekłość Muzułmanów; na twarzy giermka maluje się bojaźń o życie pana. Konie dzielne, a osobliwie szpak, już dawniéj znany z obrazu: *Książę Albert w bitwie z Norymberczykami, chorągiew zdobywa* i *Cztérech Beduinów z lwem walczą-*

cych. Obraz ten, świetnym kolorytem odznaczający się, malował uczeń Verneta, Szymon Meister, tak zwany malarz bitew, urodzony w Koblencyi, a zamieszkały w Kolonii. Ostatniego karnawału, malując salon w Gürzerich, śmiałością wyobraźni i fantastycznością pomysłów, zaszczytnie się odznaczył.

3. Dytrych Monten, urodził się w Düsseldorfie r. 1799, gdzie od dziecięctwa chęć do malarstwa okazywał. Przechód wojsk francuzkich zapalił wyobraźnię dziecięcia, który odtąd tylko wojskowe przedmioty bazgrał po ścianach rodzicielskiego domu. Oddany do szkół, białe karty *Iliady* Homera zamiast filologicznémi uwagami i wykładami professorów, wypełniał rysunkami bitew homerowskich, gdzie Greków i Trajan w europejskie przestrajał mundury. Nakoniec dozwolono mu iść za popędem jeniuszu. Oddał się malarstwu, bawił długi czas w Rzymie, a teraz osiadł w Mnichowie, gdzie sieni *Bazaru* pięknémi przyozdobił freskami. Obraz na tutejszéj wystawie przedstawia *napad dragonów na zbrojnych chłopów tyrolskich opór stawiających za murem cmentarzowym.* Jedna grupa w pięknym rozkładzie figur, najbardziéj uwagę widza na siebie zwraca. Młody chłopczyna klęcząc błaga o życie dragona, chcącego cios śmiertelny mu zadać.

(Dokończenie nastąpi).

— Ze Lwowa. —

W dodatku XIV. *Kwiatów czeskich* z d. 13. lipca r. b., w zdaniu pochwalném (napisaném przez p. W. S. Sztulca w Pradze) o *Sławianinie,* piśmie wydawaném przez p. Stanisława Jaszowskiego we Lwowie, znajduje się w krótkości wspomnienie o chlubnym celu tego pisma, a zaś w dodatku XVII. tychże *Kwiatów,* z d. 24. sierpnia r b., w rzeczy: *Do żywotopisów zasłużonych Sławian,* napisanéj przez p. J. Hulakowskiego, znajduje się *obszérne wyszczególnienie,* położonych dla sławiańskiéj literatury, *zasług pana Adama Junoszy Rościszewskiego,* członka towarzystwa naukowego krakowskiego, Muzeum czeskiego w Pradze, i tamże Matki Czeskiéj, a reprezentanta *posteritatis* zakładu imienia Ossolińskich we Lwowie, naszego ziomka, a jak sam recenzent mówi: »*Tego drogocennego czciciela piśmiennictwa sławiań»skiego i najhojniejszego wspiéracza narodowego Muzeum »czeskiego co do rzeczy sławiańskich.* Obdarza on szczo»drze wyborny nasz księgozbiór polskiemi książkami, i »znowu mnogie płody czesko-sławiańskie składa w księgo»zbiorze Ossolińskich we Lwowie, pokładając to jedynie »za główny cel hojnych swych darów, aby się czescy »literaci z nowszémi płodami polskiemi lepiéj obznajo»mili, a co pięknego na mowę ojczystą przenieśli.« — Do tak słusznych pochwał wypada i nam dodać z naszéj strony, iż te nieposplite zasługi obywatelskie, a jedyny może przykład męża, który nie dla siebie, ale dla ziomków, kraju i potomności żyje i pracuje, zjednały już i u nas panu Adamowi Rościszewskiemu wiekopomną sławę. Jegoto staraniem uwieczniono pamiątkę Ossolińskiego medalem; onto tyloma tysiącami ksiąg pożytecznych zbogacił i zbogacać nie przestaje Ossolińskich zakład naukowy, a gorliwość jego o wydawanie wszelkich dzieł sławiańskich komuż nie jest znaną?

»Ta sława, zasłużona, godna naszych ziomków,
Jednym z najzaszczytniejszych jest kraju przydomków.«

I z tego powodu składamy pp. Sztulcowi i Hulakowskiemu za rozszerzenie sławy ziomków naszych winne podziękowanie. *A. Orłowski.*

Z Paryża. (Wyimek z listu.) Od kilku lat, czyli, jeźli się nie mylę, od czasu jak doktor Marcinkowski z Poznania złożył akademii tutejszéj pismo o cholerze, za które otrzymał honorowy medal, żaden Polak nie zatrudniał pracami swemi tego uczonego zgromadzenia. Dopiéro w tym roku roczniki akademii wspominają o pracach naukowych dwóch Polaków, pp. Domejki i Korylskiego, obudwu byłych uczniów uniwersytetu wileńskiego, zamieszkałych w Paryżu od lat kilku. Pan Elie de Beaumont wziął na siebie udzielić akademii umiejętności, na posiedzeniu d. 19. czerwca r. b., wypracowaną przez p. Domejkę wiadomość o zmianach ziemi, zaszłych od kilku wieków na brzegach Morza Baltyckiego, a mianowicie o zalaniu całéj prowincyi, znanéj w dziejach pod nazwą Witlandyi. Za główną skazówkę służyło p. Domejce dzieło Voigta o *Dziejach Prus,* napisane i wydane w języku niemieckim. Cały ten artykuł znajduje się wydrukowany w rocznikach akademii. P. Domejko ukończył nauki w paryzkiéj szkole kopalń, oddaje się teraz praktycznym poszukiwaniom geologicznym i wydać ma wkrótce dzieło o Karpatach dla wiadomości Francuzów, którym prace Staszica, Zejsznera, Pusza i innych, wcale są nieznane. P. Korylski, którego spostrzeżenia meteorologiczne znane były przed kilkoma laty w dziennikach warszawskich, złożył akademii paryzkiéj d. 24. lipca pismo, dochodzące wpływu, jaki wywierają słońce i księżyc na zjawiska napowietrzne. Akademija wyznaczyła do ocenienia téj pracy pp. Arago i Mathieu, swych członków. — P. Raciborski, doktor medycyny paryzkiéj szkoły, który przed dwoma laty ogłosił pismo o poznawaniu chorób piersiowych, wydał teraz, również w języku francuzkim, obszerne dzieło o całéj diagnostyce. — Przy tutejszym ogrodzie botaniczno-zoologicznym, zwanym *Jardin du roi,* pod względem bogactw zbiorów i sławy profesorów, w muzeach tego ogrodu nauki wykładających, bezwątpienia najpierwszym w świecie, umieszczeni są dwaj Polacy, pp. Zórawski i Makowski. Pierwszy ma sobie powierzone wypychanie zwierząt, drugi, w ogrodnictwie biegły, pielęgnowanie roślin w cieplarniach ogrodu. *X. B.*

Z listu p. Pogodyna, pisanego z Moskwy do Lwowa: »Napisy, znalezione na skałach *** w Karpatach obwodu stryjskiego w Galicyi, są zupełnie podobne do owych, wynalezionych przez oryjentalistę pana Frähna, w pisarzu arabskim z 10go wieku. — P. Kirejewski zebrał starożytnych pieśni ruskich do 8 tomów. Równie liczny jest zbiór pieśni mało-ruskich p. Brodzińskiego, piszącego *Mownaukę* (gramatykę) tegoż narzecza. Gramatyki pp. Grecza, Kołajdowicza i Wostokowa wyszły w nowém wydaniu; są dotąd najlepsze, lubo nie we wszystkiem dosyć jasne. — Wychodzą tu liczne zbiory historycznych materyjałów i dokumentów; badacze dziejów zajmują się teraz najwięcéj wyjaśnieniem dziejów starożytnych. — Narodowym naszym *bajopisem* (poetą) jest teraz Kryłow; p. Gogol wsławił się powieściami mało-ruskiemi, a w panu Jazykowie mamy nowego i wielkich nadziei piewcę. — P. Wenelina pracą napisaną została *Gramatyka narzecza bulgarskiego. A.*

Z Petersburga d. 19. września b. r.: Literatura rossyjska poniosła nową, bolesną stratę. Z ostatniego numeru dziennika *Biblioteka* dowiadujemy się, iż znakomity autor *Amalat Beka, Żeglarza Nikitina, Mutly Nura* i tylu innych, pełnych talentu płodów, p. Marliński, ostatniemi dniami żyć przestał.

Nowy rodzaj litografii. Litografowie Engelmann, ojciec i syn, w Mühlhausen, wynaleźli nowy sposób litografowania w kolorach, przez który można będzie, nawet wielofarbne obrazy i krajowidy, z najrozmaitszemi odcieniami kolorytu cielistego w tym sposobie nałożyć i odcisnąć, iż po odbiciu żadnej nie potrzeba będzie poprawki. Każdy przeto malarz i rysownik, umiejący obchodzić się z farbami, może zajmować się tym kunsztem, ponieważ druk nie stawia żadnych zawad i równie łatwo jak w zwyczajnéj litografii uskutecznionym być może. Jak wiele płyt używa się do tego litografowania, jest jeszcze tajemnicą, i słychać, że p. Sachse, księgarz tamtejszy, chce w téj mierze z wynalazcą zawrzéć ugodę. P. Sachse wystawił na widok publiczny *Album chromolithographique* i zbiór prób tego nowego postępowania. Między temi odznaczają się szczególniej dwa portrety rozmaitością i czystością kolorów, oraz malowniczém wyrażeniem całości; również jak niektóre wizerunki ptaków i arabesków z najbogatszym i najświetniejszym przepychem kolorów.

Łóżko hydrostatyczne. Wiadomo, że opór wody względem płynącego ciała tak jednostajnie jest podzielony, iż każda tysiączna część calu spodniej przestrzeni ma prawie swoje płynne słupy i nie przyczynia się nigdzie do dźwigania ciężaru słupa sąsiedniego. Doktor Arnod, rozważając tę prawdę, wpadł na myśl, iż przykrywszy kąpiel materyją, przez którąby woda przeciéć nie mogła, i położywszy na niéj człowieka, byłby nacisk wody na całe jego ciało tak jednostajny, iż nie podobna, aby jedna część cierpiała więcéj niż druga, i dla tego ta część, która przez nierówny nacisk już ucierpiała, co się zawsze zdarza ludziom długo w łóżku leżącym, szczególniej jeźli konstytucyja ich ciała przez jakową przyczynę jest osłabioną, na takowém łożu natychmiast uwolnioną być musi od bolu i od wszelkich innych nieprzyjemnych skutków, nawet na najmiększém łożu wynikających, a skutek okazał, że to zdanie było prawdziwém. Pewna dama, zapadłszy po połogu na różne słabości, musiała tak długo leżéć w łóżku, iż sobie wrzody odleżała na ciele. Zaczęto ją pilnie obmywać, i używano wszelkich sposobów dla ulżenia jéj stanu. Jednak wrzody z leżenia pogorszając się coraz bardziéj, zagrażały niebezpieczeństwem życiu. Ale skoro ją położono na wodne łóżko, natychmiast doznała ulgi; usnęła snem łagodnym i ocknęła się pokrzepioną; nocy następującej spała daleko lepiej jak zwyczajnie, a nazajutrz zaczęły się goić wszystkie części zbolałe. Niech sobie czytelnik wystawi zwyczajne łóżko w kształcie koryta, na jednę stopę głębokie i wykładane cyną albo cynkiem, takowe łóżko napełnia się aż po brzég do sześciu cali wodą; na tę wodę kładzie się materyja, przez którą woda przejść nie może, potém materac lub inne rzeczy, a nareszcie zwyczajne piernaty, pierzyny i t. d., a będzie miał dość dokładne wyobrażenie o takiém wodołożu, które tylko tém się różni od łóżka zwyczajnego, iż ma wodę zamiast desek lub pasów. Aby woda nie występowała, przebija się nieprzecickła materyja na około koryta ćwioczkami, a zostawione pomiędzy niemi miejsca wypełnia się blejwasem lub jakim innym kitem. Jeżeli materyja tak jest wielką, iżby koryto łoża nią obić można, zostanie się dość miejsca, do wolnego i lekkiego poruszenia. Woda wpuszcza się do koryta otworem z góry, a gdy potrzeba, wypuszcza się kurkiem u spodu.

Eugène Sue. Autor romansu *Ołtarz Gult*, tudzież innych romansów morskich, każe swojemu lokajowi wszystkie listy, co do niego przychodzą, podawać sobie na srebrnéj tacy. Umeblowanie pokojów jego kosztowało 100.000 fr. Romanse morskie nie źle popłacają!

Napoleon znający się na muzyce. Że Napoleon znał się na muzyce, czego się po nim nie spodziewano, dał tego dowody. W Tuileryjach dawano koncert. Z sześciu sztuk, wymienionych w programie, był trzeci numer Paësiella. Artysta, mający śpiewać ten numer, zasłabł i nie był w stanie przyłożyć się do odegrania koncertu. Grégoire wpadł na myśl, zamiast numeru wymienionego, podłożyć inny przez Generalego napisany. Ale z wielkiém podziwieniem muzyków, nie dał się oszukać dostojny słuchacz, mający wielkie upodobanie w muzyce Paësiella; bo zaledwo zaczął się numer trzeci, cesarz skinął ręką i przerwał koncert: »Lesueur,« rzekł, »to nie jest utwor Paësiella.« — »Przebacz W. C. Mość, i owszém, jestto utwor jego; nie prawdaż, panie Grégoire?« — »Tak jest, Najj. Panie, niezawodnie.« — »Mości panowie, w tém jest jakaś omyłka; każ wćpan jeszcze raz zacząć.« Po dwudziestu taktach cesarz przerywa śpiewaka powtórnie: »Nie, mości Lesueur, to być nie może, Paësiella utwory mają więcej jeniuszu, niż coś podobnego.« Grégoire dodaje z pokorą i pomieszaniem: »Ta sztuka jest zapewne dziełem w jego młodym wieku, piérwszą próbą.« — »Mości panowie,« odrzekł Napoleon z gniewem, »nawet piérwsze próby człowieka takiego jak Paësiello, mają już na sobie piętno jeniuszu, i nigdy nie są tak mierne, że nie powiem tak lichc, jak to, coście dopiéro wykonali!«

Pies inwalidów w Paryżu. Podług rozporządzeń dla domu inwalidów w Paryżu, które Ludwik XIV. sam swą ręką napisał, wyłączone były z tego instytutu, kobiety i psy bez wyjątku. Rzecz ta tém jest ważniejszą, ile że ten król wielki lubił tak jedno jak i drugie. Co się dotyczé płci pięknej, zakaz był wkrótce przestąpiony, ale co do psów, utrzymał się dotychczas z największą surowością. Tylko jeden pies, jako wyjątek, dostał się w ostatnich czasach do tego instytutu i otrzymał w nim miejsce. Pies ten nazywa się Moricault, i dostąpił téj łaski nie przez piękność, bo jest stary, słaby i mrukliwy, ale winien ją swym zasługom. Moricault znajdował się razem w bitwie pod Waterloo i widziano go, jak w największym natłoku, choć sam bardzo pokaleczony, lizał rany żołniérzy, którzy od nieprzyjacielskich kul padli na placu. Z mnóstwem wojowników, swych towarzyszy, ale bez swego pana, który poległ na bojowisku, przyszedł do domu inwalidów i tam się został. Przez wiele lat żył na esplanadzie z litości poczciwych inwalidów, bowiem z samego domu zawsze był wypędzany. Jednak nie opuścił nigdy swojego stanowiska i cierpliwie znosił swoje nieszczęście, tak, iż jednego dnia marszałek Jourdan, gubernator inwalidów, posłyszawszy o psie, który budzi inwalidów, gdy który zaśnie w czatnicy, czuwa przy żołniérzach, gdy który wpadnie w przekopę, i za każdym pogrzebem z domu inwalidów na cmentarz idzie, życzył sobie zobaczyć tego psa nadzwyczajnego. Od tego czasu został Moricault na zawsze do domu inwalidów przyjętym, gdzie jako weteran z bitwy pod Waterloo, kosztem rządu jest żywionym.

Nowy panek. Pewien rękodzielnik narzędzi muzycznych w Paryżu został przez rewolucyją nagle bardzo bogatym, i z zarozumiałością, właściwą nowym pankom, niezmiernie nad swój stan się wynosił. Jednego dnia, będąc w salonie, do którego wolny wstęp zjednało mu bogactwo, chełpił się swemi pieniądzmi, mówiąc o krociach, milijonach, jakby o drobnych fraszkach. W tem Talleyrand, stojący przypadkiem obok niego, uderzył bezwstydnego fabrykanta fortepianów po ramieniu i rzekł z uśmiechem sarkastycznym: »*Piano, pianissimo*, mój przyjacielu, nié masz tu żadnego powodu do grania *forte*.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.